

A... B...
C...



ELIZA ORZESZKOWA

A... B... C...

OD WYDAWCÓW

Niniejsza nowela E. Orzeszkowej oparta jest na rzeczywistości, aż nadto dobrze pamiętnej starszemu pokoleniu ludności polskiej w b. zaborze rosyjskim. Sprawa Joanny Lipskiej, obwinionej i skazanej na karę za nauczanie małych dzieci, przypomina nam niedawne jeszcze czasy, kiedy nigdzie na ziemiach polskich, zagarniętych przez Rosję, nie wolno było uczyć po polsku, nawet abecadła, ci zaś, co uczyli, podlegali prześladowaniu i surowym karom.

A... B... C...

W jednym z większych miast wielkiego państwa Joanna Lipska codziennie przechodziła około gmachu, którego front teraz właśnie rozszerzano i przyozdabiano, najłżejszej uwagi na niego nie zwracając. Wielkie było państwo i wielki zbudowany przez nie gmach sądowy; cóż ona z potężnymi wielkościami temi mieć mogła wspólnego? Wiedziała, że w tych obszernych ścianach, porzniętych szeregami jasnych okien, rozstrzygają się losy tych, którzy wiodą majątkowe spory lub popełniają występki i zbrodnie. Majątkowych sporów ona mieć nie mogła, nie mając żadnego wcale majątku; gdyby zaś kiedykolwiek nasunęła się jej myśl, że może być obwiniona o popełnienie zbrodni, wprost parsknęłaby śmiechem. Ale myśl ta nie nasunęła się jej nigdy, i nigdy gmach sądowy nie zwrócił na siebie szczególnej jej uwagi. Była ona tak mała ze swem skromnym nazwiskiem, ze swem zupełnym ubóstwem i ze swą szczupłą dziewczęcą kibicią!

Nosiła zawsze czarną wełnianą suknię i czarny kapelus, ani ozdobny, ani modny, lecz z pod którego widać było gęstwinę ślicznych włosów, tak prawie jasnych, jak len, gładkich i lśniących nad czołem, w prosty, ciężki warkocz zwinętych z tyłu głowy. Cere twarzą miała bladawą i często zmęczoną, różowe usta i szare oczy, które kryształową swą przezroczystością przypominały czasem oczy dziecięce. Młoda była i niewątpliwie ładna, lecz każdy znawca ludzi poznałby w niej odrazu jedno z tych dziewcząt, w każdym mieście licznych, które nie bawią się i nie stroją nigdy, jadają niewiele, oddychają powietrzem wąskich ulic i ciasnych izdebek. Taki sposób życia tamuje rozwój wdzięku i zarazem ukrywa je przed ludźmi. Nie pielęgnowane i nie uwydatniane, kwitną one blado i więdną niepostrzeżone, jak kwiaty, które spłówały w cieniu; zaćmiewa je i zasłania często łopuch byle jaki, lecz wygodnie i pysznie rozrastający się w blasku słońca. Blada i przywiedła, z ulicznym gminem zmieszana, w swojej wiecznej czarnej sukience, szła Joanna zawsze ulicami miasta śpiesznie, z kibicią trochę naprzód podaną, z czołem trochę pochylonem, a drobne i kształtne jej stopy w grubym obuwiu prędko, prędko stąpały po nierównych kamieniach chodnika. Teraz codziennie zeskakiwać musiała z chodnika i okrążyć mularskie rusztowanie, wzniesione u ściany sądowego gmachu. Raz tylko podniosła głowę, popatrzyła na robotników, pracujących u szczytu rusztowania, i pobiegła dalej. Pomiędzy nią a tym gmachem wielkim i napełnionym posepnymi dźwiękami sporów i zbrodni cóż wspólnego być mogło?

Nikt a nikt nie zwrócił był na to uwagi, ale to pewna, że przed niedawnym czasem wyraz jej twarzy bywał bardzo smutny i stroskany, a czarna suknia oszyta dołu białą taśmą. Nosiła żałobę po ojcu i ciągle myślała o tem, że powinna koniecznie znaleźć sobie sposób zarabiania na życie, aby nie obciążać sobą ciężkiego życia brata. Była to myśl pozioma i prozaiczna, niemniej rysująca często głęboką zmarszczkę na jej młodziutkiem

czole. Cierpiała wtedy i dużo myślała, nie tylko nad sobą, ale czasem nad całym światem i różnymi jego urządzeniami. Czasem także wyglądała tak, jakby wstydziła się czegoś, i wtedy jej oczy zdawały się pokornie przemawiać do ludzi:

— Przebaczone mi, że istnieję!

Chodziła po świecie z nieustanną myślą:

— Na co ja komukolwiek lub czemukolwiek przydać się mogę?

Często bywała głodna i miewała podarte obuwie, myśląc zaś o kawałku chleba, czy bułki, albo o całych trzewikach, myślała zarazem:

— Wszakże biedny Mieczek sam nie ma zawsze kawałka mięsa, i koszule jego drą się już w kawałki... A tu jeszcze siedzę mu na karku!

Miała znajome i rówieśnice, które w takim samym jak jej położeniu żyły sobie zupełnie spokojnie, a niekiedy nawet i wesoło. Zręcznie i chciwie chwytaly drobne przyjemności życia, karmiły się nimi, oczekiwały lepszej przyszłości, nie rozglądały się po świecie i nie oglądały się na nikogo; było im dość dobrze.

Ona tak nie mogła. Dlaczego? Może sama natura stworzyła ją nieco inaczej, może naturze dopomogły w tym rozmowy usłyszane, książki przeczytane, widoki tych i owych istnień sąsiednich, trochę wiedzy, przelanej w jej głowę z ust ojca, który niewiele przed wydaleniem się swem z tego świata wydalony został z posady nauczyciela miejscowej szkoły męskiej. Gdyby był dłużej posadę tę zachował... A! wcale inaczej działałoby się teraz z dwojgiem jego dzieci. Ale zachować jej nie mógł. Dlaczego? Daleka przyszłość zdumiewać się nad tem będzie: był Polakiem. W sile wieku usłyszał, że nie ma prawa pracować tak, jak chciał i umiał, ani pożywać owoców swej pracy. Na miejskim cmentarzu nie otworzy się już mogiła, i nie wyjrzy z niej przedwcześnie osiwiała głowa pedagoga, z zaczerwienionymi od pracy oczyma i wielką chmurą zmarszczek, którą na czole jego złożyły nie lata, lecz jedna chwila, ta, w której mu w ścianach szkoły powiedziano: „Idź stąd precz, ponieważ tuś się urodził; miejsce twe zajmie ten, kto ziemi tej ani jej dzieci dotąd nie znał i nie widział”. Pedagog, nieco już pracą sterany, usłuchał odrazu i poszedł precz ze świata.

Dość długo Joanna biła się z różnymi myślami i zamiarami, aż dnia pewnego wbiegła do małej swojej kuchenki widocznie wzruszona. W ręku trzymała kosz z bielizną, którą do maglowania nosiła. Pomimo, iż był dość ciężki, prędko wbiegła po wąskich i stromych wschodkach i z łatwością postawiła go na stole. Szczupła, blada, miała jednak siłę organizacji nerwowych i czynnych. Postawiwszy kosz na stole, pozostała nieruchoma i zamyśliła się. Stała na podłodze z desek grubych i sterczących czarnymi głowami gwoździ; nad nią zwisał sufit niski, ciemny od pyłu i dymu; pod czterema ścianami, oklejonemi lichem obiciem, stało parę stołów i ław drewnianych, szafka z kuchennym naczyniem, łóżko, zasłane szczupłą i białą pościelą. Tu sypiała; pokoiik przyległy służył za sypialnię i pracownię jej bratu, i było to już całe ich mieszkanie, znajdujące się na tak zwanej „salce”, czyli górnem pięterku domu, który wyglądał zupełnie tak, jakby wzór jego dokonany został przez pięcioletniego architekta zapomocą ustawienia z siedmiu kart dwóch trójkątów u dołu, a jednego w górze. Takie górne trójkąty domków miejskich zawierają w sobie najtańsze mieszkania; dlatego Lipsyccy zajęli je po śmierci ojca. Na dole znajdował się szynk ze sklepikiem od ulicy; dziedziniec roił się od mieszkańców różnej płci i wieku.

Promień zachodzącego słońca, wnikający przez małe okno, oblewał złotem głowę dziewczyny, a na czarnej jej sukni nielitościwie odkrywał starannie zacerowane rozdarcia. Splecione ręce zwiesiła na suknię, powieki miała spuszczone i na ustach marzący uśmiech. O czem z taką rozkoszą marzyła?

Obudziła się z zamyślenia, podniosła twarz i głośno klasnęła w ręce. Był to gest¹ radości. Z dziecinną też radością poskoczyła z miejsca i uchyliła drzwi sąsiedniego pokoju. Tu jednak palec do ust przyłożyła i samą siebie upomniała:

— Cicho!

Potem cichutko znów samą siebie zapytała:

— Śpi, czy nie śpi?

W pokoju, przybranym w dość liczne, ale staroświeckie i ubogie sprzęty, na twardej kanapce leżał młody mężczyzna średniego wzrostu, uderzającej chudości ciała, z twarzą

¹gest (z łac.) — ruch, znak. [przypis redakcyjny]

ściągała, ładną, ale której białosc niemal papierowa razila pozorem niezdrowia, tem przykrzej, ze odbijala od czarnego zarostu i okrywajacych oczy ciemnych okularow. Niedys Mieczyslaw Lipski byl dzieckiem zdrowym, choc zawsze troche powolnem i niesmialem, ale trwało to krótko. Miał lat szesnaście i ukończył pięć klas gimnazjalnych, kiedy cera jego nabywać poczęła tej przykrzej, papierowej białosci, ręce wychudły, ruchy zleniwiały; bolące oczy z porady lekarza okryto mu wtedy, jak starcowi, ciemnymi okularami; odtąd nigdy już ich nie zdejmował. Szkołę porzucił, do rzemiosła był za słaby, zaczął pracować w jednym z biur rządowych. Karjera jego była złamana na zawsze. Dlaczego? Nikt sobie o tem dokładnej sprawy zdać nie mógł. Poprostu uległ był naciskowi czegoś niewidzialnego, ale przecie istniejącego — gdzie? W szkole, w domu, osmuconym dymisją ojca, czy w sposobie życia ubogiej rodziny, czy w moralnem powietrzu, którem oddychało to miasto? Moznaby dociec, lecz trudno dociekać. Bywają czasy tak okrutne, że oddechem swym zabijają nawet dzieci.

— Czy śpisz, Mieczku? Mieczku, czy śpisz?

Nie spał już, usłyszał ciche zapytanie siostry i, jeszcze niewyspany po ciężkiej pracy biedny kancelista izby skarbowej, leniwie wyciągając się na kanapce, wydobyl z gardła wzajemne, gapiowato brzmiące pytanie:

— Ha?

Potem, podniósłszy się nieco, oba ramiona w całej ich długości w górę wyprężył i, głośno poziewając, dopóty usta szeroko otwierał, póki mu ich nie zamknął prawdziwy grad pocałunków. — Śmiejąc się głośno i mocno całując brata w usta, policzki, czoło, Joanna wołała:

— Mam już, Mieczku, mam, czego chciałam! Znalazłam!

Obojętnie, ale bardzo łagodnie uwolnił się z jej objęcia i nosowym trochę głosem zapytał:

— No, cóż tam takiego? Co znalazłaś? Pieniądze, czy co?

Poważniejąc nagle, odpowiedziała:

— Zajęcie.

Kancelista wyprostował się całkiem, zdjął okulary, wytarł je chustką, włożył napowrót i, z za ciemnych szkieł zaczerwienionymi mrugającymi oczyma patrząc na siostrę, zapytał:

— Jakie? A pieniądze czy z tego będą?

Joanna stała o kilka kroków przed nim i opowiadała mu po raz pierwszy wszystkie swe troski i zmartwienia, któremi dotąd daremnie zasmucać go nie chciała. Niedawno powzięła już była zamiar wyjechania gdziekolwiek na początkową nauczycielkę, bonę, zarządzającą wiejskim jakim domem... gdziekolwiek i na cokolwiek, byleby już raz coś z sobą zrobić, coś rozpocząć... Ale wahała się. — Sama nie wiedziała dobrze, do czego zdalna być może. To, co umie, umie dobrze, sam ojciec przecież ją uczył... ale niewiele... Przytem tak jej było żal rozstawać się z bratem! Dwoje ich tylko na świecie, a on często niezdrów bywa i jej starań potrzebuje...

Tu w szarych oczach opowiadającej zakręciły się łzy, lecz wnet zniknęły. Dziś spotkało ją wielkie szczęście. Rożnowska, właścicielka magła, kobieta dostatnia i położenie jej znająca, zapytała jej, czyby nie chciała uczyć jej wnuczek, dwóch niewielkich dziewczynek, bardzo mądrej nauczycielki jeszcze nie potrzebujących. Naturalnie, propozycję tę z wdzięcznością przyjęła. Małe Rożnowskie przychodzić do niej będą na lekcje, bo tam, przy turkocie i zawierusze magła, uczyć się niesposób. Ale to tylko początek. Rożnowska przyrzekła, że zarekomenduje² ją jakiejś swojej znajomej, która na tej samej ulicy ma dwa domy i chłopca, którego chce do szkoły przygotować. Chłopiec ten przyjaźni się z wnuczkami Rożnowskiej i razem z niemi na lekcje przychodzić będzie. Ale i to tylko początek. Byle zacząć! Ten duży Kostuś naprzykład, syn tego ślusarza, który wiecznie pije, a którego matka zabija się praniem bielizny, już ma dwanaście lat, a czytać jeszcze nie umie i często za ojcem do szynku wsuwać się zaczyna. Matka nad tym chłopcem ręce łamie i, gdyby go ktokolwiek chciał uczyć i od złego odwozić, choć uboga, wynagrodziłaby to wedle możliwości... Jest jeszcze w perspektywie³ dziewczynka tego mularza, który im w tym roku piec naprawił i córkę z sobą czasem przyprowadzał, i malutka Mańka, có-

²rekomendować (z franc.) — polecać, zachwalać. [przypis redakcyjny]

³w perspektywie (z franc.) — na widoku w przyszłości. [przypis redakcyjny]

reczka stróża, której też wkrótce pora będzie uczyć się czegośkolwiek. Dzieci te zna już ona dobrze. Dużego Kostusia nieraz do swej kuchenki przyprowadzała i rozczochraną jego głowę zanurzała w wodzie i szorowała mydłem, poprostu piorąc tego chłopca, tak, jak matka pierze bieliznę. Ten śmieszny Kostuś, taki duży, barczysty, z wielką głową, chodzi zawsze zgarbiony, a stąpa tak ciężko, aż drży podłoga; łobuz też z niego, ulicznik, wódkę już lubi, a jednakże dla niej łagodny, jak baranek, daje się myć, czesać, napominać... Pewna jest, że można będzie tego chłopca od ulicy i szynku wyratować; co się zaś tyczy tej malutkiej Mańki, to oddawna już przepadają obie za sobą...

— Ty zresztą wiesz, Mieczku, że ja wogóle za dziećmi przepadam... Nie wiem, dlaczego, ale tak jest... Może to po ojcu... Ot, myślałam i wymyśliłam. Rożnowska mi pomogła... Ale to tylko początek. Ziarnko do ziarnka, zbierze się miarka, a później... później...

Wszystko to mówiła z coraz większym zapalem; w ciemnym pokoju, z oknem od północy, żaden promień słońca nie padał na nią, a jednak po czole jej mknęły widoczne blaski, i rumieńcem wezbranego życia oblewały się policzki.

Mieczysław siedział sztywnie, z za okularów swych wpatrując się w nią nieruchomo. Nieruchome też były rysy mizernej jego twarzy, trudno byłoby odgadnąć, czy to, co mówiła, sprawia na nim jakiegokolwiek wrażenie, czy też żadnego wcale nie sprawia. Tyle tylko, że oczu nie spuszczał z ożywionej jej twarzy, i że chude palce długich jego rąk, które wsparł o kolana, coraz zwawiej bębniły po wytartym suknie ubrania. Gdy Joanna mówić przestała, przewlekłym swym nosowym głosem powtórzył za nią:

— Później!... później!...

A potem, szczególnym ruchem, zakłopotanie czy żartobliwość oznaczającym, wsuwając szyję w krochmalony kołnierz koszuli, nie bez wahania zapytał:

— No... cóż... Takie dalekie projekty układasz... a zamąż wyjść nie myślisz?

Wzruszyła ramionami.

— Wątpię, aby to kiedykolwiek stać się mogło. Wiesz o tem, że nikogo prawie nie znamy, nigdzie nie bywamy... jakżeby więc... jakim sposobem? Zresztą może... ale spuszczać się na to nie mogę...

Z szyją wciąż w kołnierz wsuniętą i podniesioną nieco głową, brat wpatrywał się w nią, jak i wprzód, tylko po wąskich wargach, czarnym wąsem ocienionych, przewijało się coś nakształt żartobliwego uśmiechu.

— No... — zaczął znów — a ten doktor?

Tym razem Joanna zarumieniła się i ze zdziwieniem na brata spojrzała. Jakto! Więc odgadł w niej to, o czym nigdy przed nikim ani jednego słowa nie przemówiły jej usta! On, tak obojętny i senny, musiał jednak pilnie na nią spoglądać, kiedy mógł, nie wiedzieć z czego, z oczu jej chyba, z gry rysów odgadnąć... Zresztą nie było tu o czym mówić. Nie było tu wcale ani romansu żadnego, ani nawet jego przypuszczenia. Ot, tak jakoś serce uderzyło żywiej. Musiało przecież żywiej uderzyć, młodemu będąc, ale zresztą milczało, bo nie było w niem nadziei.

Rumieniec zgasł na twarzy Joanny, oczy jej i usta przybrały wyraz szczególnej powagi. Po chwili milczenia ciszej, niż przedtem mówiła, odrzekła:

— Mój Mieczku, ty wiesz dobrze, że byłoby to dla mnie marzenie zbyt wysokie... Doktor Adam był dla nas bardzo dobry w czasie tak długiej choroby ojca... i powiem ci szczerze, że wydaje mi się on ideałem człowieka. Ale właśnie dlatego, że tak jest, wiem, iż nie myśli o mnie i nie pomyśli nigdy...

Pochyliła głowę i dokończyła cicho:

— Tylko widzisz... miasto nasze takie ciasne... ludzie tu wszystko jedni o drugich wiedzą i czasem spotykać się z sobą muszą... więc chcę, aby on wiedział... że ja... wiem dobrze, iż między nami nic nigdy nie będzie, ale chcę... aby wiedział, że zasługuję przynajmniej na jego szacunek...

Podniosła twarz i przez szybę okna patrzyła w górę, wysoko, jakby w niedoścignionej oddali widziała jakąś tęczę idealną, która zawisała nad szarym jej życiem. Mieczysław wydobył szyję z krochmalonego kołnierza i spuścił głowę. Palce jego bębniły wciąż po kościstych kolanach, usta nieco się rozwarły. Trudno byłoby powiedzieć, czy smutny czuł się, znudzony, albo jeszcze senny. Nagle zapytał:

— No, a ileż ci płacić będą?

Joannę zapytanie to obudziło natychmiast z zamyślenia, czy marzenia. Wesoło znów powiedziała bratu, że zarobek jej będzie niewielki, jednak w ich wspólnym życiu zaważy wiele. Zresztą to tylko początek... ziarno do ziarnka — zbierze się miarka, i później, później...

Mieczysław wstał. Sztynie postąpił kilka kroków, chude ramiona w wytartych rękawach zaokrąglił dookoła kibici siostry i mocno ją kilka razy w czoło pocałował. Ona skoczyła mu na szyję.

Tęgo wieczora przy zapadającym zmierzchu, z dołu, z pod podłogi, wzbijać się ku niej zaczęły niesforne gwary, stukania, krzyki. Była to chwila, w której, gdy światło dnia usypiało, budził się i życie swe rozpoczynał szynk. Jakby odgłosy tego nocnego, podziemnego życia z miejsca ją poderwały, Joanna zerwała się z ławki i szybko zbiegła na dziedziniec. Biegła ku mieszkaniu ślusarza pijaka i żony jego, praczki. Po drodze sukni jej uczepiła się dziewczynka malutka, bosa, rumiana i z kaczemi ruchami, obok niej biegnąc, razem z nią zniknęła za drzwiami ciemnej sionki. Gdy po upływie dość długiego czasu wyszły obie na dziedziniec, za niemi ukazał się ślusarz, człowiek barczysty, z twarzą obrzękłą od pijaństwa, załawionymi oczami i rozczochraną czupryną nad wąskim czołem. Z ubrania i całej postaci jego wiał nieporządek przyzwyczajęń, nie był jednak dnia tego pijany, tylko czegoś uradowany i rozrzewniony. Za progiem swego mieszkania pochylił się i, schwyciwszy rękę Joanny, z całej siły ją pocałował. Jednocześnie duży Kostuś, barczysty, cały w grube płótno odziany, bosem stopami ciężko o kamienie uderzając, z dzbankiem, pełnym wody, pobiegł na schodki, prowadzące do mieszkania Lipskich. Od dość dawna już oddawał on czasem Joannie różne drobne gospodarskie przysługi. Rzecz dziwna! Dwunastoletnie to dziecko miało już czoło zmarszczone i patrzyło na ludzi z pod brwi, nieufnie, czasem przebiegle i ze złością. — Matka, zapracowana i wiecznie zgryziona, często łajała go i nawet biła; ojciec, który przepadał za nim, przynosił mu z szynku niedopalki cygar i obwarzanki, cuchnące wódką; źródłem zabawy, rozkoszy i poznania życia był mu — szynk. Jednak odniedawna to stare, dziecinne serce po raz pierwszy może rozkwitło uczuciem innym, niż uczucie krzywdy, bojaźni, bosych nóg i karczemnych wrażeń. Nigdy w życiu nie widział tak ślicznej panienki, jaką w oczach jego była Joanna, i nie słyszał ani tak łagodnego głosu, ani tak ciekawych powiastek, jak te, które opowiadała mu ona, ilekroć gotowała obiad lub naprawiała bieliznę, a on dopomagał jej, w czym mógł, albo przy ścianie kuchenki siedział na ziemi, obejmując ramionami podniesione kolana i patrząc na nią, już nie z pod brwi i dziko, lecz śmiałym, roztropnym wzrokiem. Odkąd mu powiedziała, aby był dobry dla malutkiej Mańki, nie bił jej nigdy, nie szczypał i nie straszył, bardzo często widzieć ich można było, trzymających się za ręce i z powagą przechadzających się po dziedzińcu. Często też wstępowali w ten sposób na schodki i wchodzili do kuchenki Lipskich.

W kuchence bywało potem codziennie bardzo gwarno. Z za cienkiej ściany górnego piętka domku wychodziły nazewnątrz cieniuchne głosy dziecięce, bąkające.

— A... b... c... a... b... c...

Inne, starsze nieco, prawyły:

— Pszczoła, acz mała, pożytecznym jest owadem. Ma cztery skrzydełka, sześć nówek, dwa rożki i żądło...

Albo:

— Pięć razy sześć — trzydzieści... cztery od dziesięciu — sześć i t. d.

Duży Kostuś okazał się szczególnym wielbicielem kaligrafji. Nic mu się tak bardzo nie podobało, jak wodzenie piórem po papierze, to słabiej, to mocniej, i, gdy tylko zaczął już pisać litery, formalnie lubował się swemi arcydziełami. Joanna sama ułożyła dla niego kaligraficzne wzory. Miała w tem swój cel. Chłopiec, zakreśliwszy całą stronę, brał papier w obie ręce, szerokie plecy w płóciennym spencerze garbił nad stołem i głośno, z triumfem, z prawdziwą rozkoszą odczytywał swoje pisanie:

— Nie czyń drugiemu, co tobie niemiło... Choć ubogo, ale chędogo... Pieczone gołąbki nie wpadają do gąbki...

W porze owej Joanna nigdy już nie bywała smutna. Wyglądała raźniej, zdrowiej i pogodniej. Odkwitła. Zdobycze jej były bardzo małe, ale wiadomo, że pojęcie wielkości i małości jest na tym świecie niezmiernie względne. Dla niej drobiazgi te były prawie zbawieniem. Od jednych otrzymywała małe kwoty pieniężne, inni wynagradzali ją ina-

czej, jak mogli. Pracznica bezpłatnie prała ich bieliznę; mularz, posiadający obszerny ogród, przynosił warzywa i owoce; stróż domu darmo drzewo na opał rąbał. Jakże zdziwiła się, gdy spostrzegła, że nawet pijak ślusarz płacić jej pragnął monetą innej wprawdzie natury, ale która niemniej posiadała dla niej cenę wysoką. Ilekroć, wracając z miasta, wchodziła na dziedziniec, człowiek ten nie wiedzieć skąd zjawiał się także. Czy, ujrawszy ją przez okno, wypadł z szynku lub wysuwał się z za węgła domu, u którego próżniaczko godzinami przesiadywał, lub w lepszych dniach swoich przerywał ślusarską robotę i wychodził ze swego mieszkania, dość, że zawsze, z zegarkową regularnością, gęsta czupryna i niskie, ciemne czoło pochylały się przed nią, a żółte obrzękłe wargi wyciskały na jej rękę głośny pocałunek. Był to w gruncie rzeczy obrzydliwy pocałunek pijaka, którego ślady bezwiednie prawie i co najprędzej ocierała z ręki, który jednak brylantem wpadał do jej serca. Jak brylanty, radością świeciły jej oczy, gdy przyniosła i pokazała bratu pół tuzina śnieżnych nowych koszul, którymi zastąpiła tamte.... drące się w kawałki. Tego dnia także do czarnego zawsze swego kapelusza przypięła gałązkę sztucznych kwiatów... Teraz na ludzi patrzyła śmiało i spokojnie; ale był w mieście jeden szczególnie człowiek, z którego spojrzaniem, ilekroć spostrzegła go, spotkać się pragnęła, chociaż usiłowała o tem nie myśleć.

Był on dla jej ojca bardzo dobry w czasie długiej jego choroby, widywała go wtedy często, słuchała rozmów, które z uczonym pedagogiem prowadził — potem przybył na pogrzeb i, gdy chwiejąca się szła za trumną, rękę jej oparł na swoim ramieniu. I nic więcej pomiędzy nimi nie było, ale ona o tem nigdy nie zapomniała. Teraz widywała go tylko na ulicy, zdaleka, gdy zgrabnym jednokonnym powozikiem objeżdżał domy swoich pacjentów. Ilekroć spostrzegł ją, kłaniał się grzecznie. Nic więcej. Jednak w jej sercu struna jakaś uparła się drzeć przy każdym jego spotkaniu i śpiewać jej o nim w godzinach ciszy. Powiedziała sobie: „Niepodobna!” Ale nikt już więcej nie sprawiał na nią najłżejszego wrażenia, a czasem, w noc księżycowe, po dniu pracy, spoczywając, lecz jeszcze nie śpiąc, przez szyby małego okna patrzyła w górę, wysoko... To wielkie szczęście, o którego zdobyciu ani marzyła, wydawało jej się wtedy tęczą idealną, w niedoścignionej oddali zawieszoną nad szarą ziemią...

Czasem też wyobrażała sobie, że jest drobnym robaczkiem, uwijającym się, o ile tylko sił starczyło, u podstaw wyniosłej, aż niebotycznej budowy. *U podstaw*, wyraz ten gdzieś słyszała, czytała. Otóż była tam teraz. Wyżej promiennie było i świetnie. Ludzie tam dźwigali i kuli marmury drogocenne, ściągali z nieba promienie słońca, szukali klejnotów, świat i siebie stroili w blaski. Ona, razem z mnóstwem podobnych sobie maluczkich istot, zbierała w cieniu drobne pyłki, ale tak zupełnie poprzestawała na tem, że przed jej wyobraźnią przyszłość stawała pogodna, pełna, i nawet z owej górnej tęczy na zawsze niemego uczucia nie spadała na wargi jej żadna kropla goryczy, tylko spływało czasem trochę tęsknoty i smutku...

Często w późne wieczory, bezecne pieśni, ohydne śmiechy, niesforne tupoty i stuki szynkowe, z dołu, pod podłogi, buchały w ciemną lub oświetloną księżycem kuchenkę. Dziki ten hałas unosił się wtedy nad białą pościelą, nad myślami, marzeniami i dziecięcym czystym, cichym snem Joanny.

*

Chociaż uczyła dość znaczną liczbę drobnych dzieci, nie przestała przecież zajmować się pilnie małym gospodarstwem swoim i brata. Dlatego codziennie, raz albo i dwa razy na dzień, po prowizję⁴ i różne sprawunki wychodziła do miasta. W tych wycieczkach najczęściej mijać musiała zbliżona wielki gmach sądowy, ale nigdy najmniejszej na niego nie zwracała uwagi. Był on tak wielki, a ona była tak mała! Rozległe wnętrze jego napełniały odgłosy sporów i zbrodni, cóż więc mogła ona mieć z nim wspólnego? Jednak — jakim sposobem to się stało, trudno dociekać — pewnego dnia weszła do jednej z sal tego gmachu, i wskazano jej zaraz miejsce, które miała zająć. Była niem ława oskarżonych. Nigdy potem nie potrafiła zdać sobie sprawy, jakim sposobem przebyła tłum i doszła do tego miejsca. Zdawało się jej wtedy, że wszystka krew zbiegła do jej głowy, kipiała tam,

⁴*prowizja* (z łac.) — zapas żywności. [przypis redakcyjny]

szumiała, jęczała, paliła w policzki i czoło, jak rozpalone żelazo. W oczach jej ludzie, ściany, sprzęty mgliły się i mąciły tak, że dokoła siebie widziała tylko jakąś pstrą, migotliwą masę. Gdy rozpoznała na koniec, że masa ta miała kilkaset ludzkich oczu, które wszystkie z wyteżoną ciekawością spoglądały na nią, doświadczyła takiego uczucia, jakby odartą ze wszelkiej odzieży postawiono ją nagle pośród miejskiego rynku. Zapragnęła gwałtownie zerwać się i uciec, ale w zmaconej do głębi swej istocie miała mętne uczucie, że było to niepodobieństwem. Ci, którzy w tej chwili patrzyli na nią, widzieli szczupłą, delikatną dziewczynę w skromnym ubraniu, drżącą, przelekką, aż po pasma jasnych włosów płomiennie zarumienioną.

Była to największa z sal wielkiego gmachu. Kościelna prawie wysokość nadawała jej pozór imponujący; uroczyste wrażenie sprawiały kobierce i okrycia długiego stołu, za którym zasiedli sędziowie. Tłum ludzi różnych stanów napelniał szeregi ław, ustawionych przy wnijściu. W poprzecznych ścianach wysoko umieszczone cztery ogromne okna rzucały jednolite, białe, nużące światło na wysokie, białe, jednolite ściany, na poważne postawy sędziów, na zalegający połowę sali pstry, ruchliwy, głuchemi rozmowami szumiący tłum. Tu i owdzie jaskrawy kwiat zakolysał się na kobiecej głowie, zadzwonił i echem odbił się w górze głośniejszym wymówionym wyraz. Woźny sądowy wymówił kilka dobitnych słów, i zrobiła się wielka cisza, wśród której dał się słyszeć głos przewodniczącego sądowni.

— Sprawa Joanny Lipskiej, obwinionej o utrzymywanie szkoły bez pozwolenia władz...

Słowa te powróciły Joannie przytomność. Powstała i na kilka zapytań przewodniczącego odpowiedziała cicho, lecz wyraźnie. Potem usiadła znów, ogniste rumieńce zniknęły z jej twarzy, ukazując zwykłą jej bladłość. Zarazem widać było, że ogarnia ją zamyślenie tak natarczywe i nieodparte, iż odrywało wzrok jej i słuch od rozgrywającej się przed nią, a tak zbliżonej obchodzącej ją sceny. W szeroko otwartych jej oczach odmalowało się zdziwienie. Wzniosła je w górę, ku ozdobnym gżemsom⁵ przeciwległej ściany; czasem głową czyniła ruchy takie, jakby we wnętrzu swem usiłowała coś nadzwyczaj dziwnego zrozumieć i — za nic nie mogła. Trudno było powiedzieć na pewno, czy zwracała jakąkolwiek uwagę na zeznania świadków. A jednak były one głośnie i trwały długo. Otyła i siwa Rożnowska w staroświeckiej mantyli i z płaskim czerwonym kwiatem na kapeluszu, chustką ocierając spoconą, wielką, dobroduszną twarz, po kilkakroć powtarzała wyznanie, że ona to głównie wszystkiemu jest winna. Sumienie jej inaczej mówić nie pozwala. Przysięgła, że powie prawdę, i prawdę mówi. Ona to pierwsza namówiła do tego Lipską. Dziewczyna jest ubogą sierotą, potrzebowała zarobku, ona zaś ma wnuczki. Gdyby wiedziała, że jest w tem co złego, pewnoby nie namawiała, ale na Chrystusa przysięga, że ani jej przez głowę nie przeszło, że do złego namawia. Siwe ma włosy, ale życie przeszło jej w tem mieście, i niech wszyscy zaświadczą, czy kogo kiedykolwiek do jakiej nieuczciwości namówiła. Zachłysnęła się płaczem, jeszcze raz powtarzać zaczęła, że namawiała... nawet prosiła... ale dano jej znak, aby umilkła już, i usiadła.

Przyjaciółka właścicielki magła, posiadaczka dwóch domków, malutka, sucha kobiecina, błyszcząca w tem zgromadzeniu kaszmirową suknią i eleganckimi manierami, przyciszonym głosem, ale z przymilającym się uśmiechem oświadczyła, że książki, które, jako *corpus delicti*, leżały przed sądem, istotnie kupiła i darowała Lipskiej, która jej syna do klasy trzeciej przygotowała tak dobrze, że teraz, gdyby nie był jeszcze zbyt mały, przyjętoby go może i do czwartej. Bardzo sumiennie uczyła, bardzo sumiennie... tak sumiennie, że czuła się ona w obowiązku zapłatę jej podwyższyć. Gdyby była wiedziała, że w tem jest co złego, byłaby pewno tego nie uczyniła, ale słowo honoru daje, że nie wiedziała. Cóż? Kto ma dziecko, ten o edukację jego dbać musi, a tu pod boki guwernantka uczciwa, sumienna i tańsza od innych, bo biedna sierota... Tu wykonała przed sądem dyg elegancki, poczem, milutko zawsze uśmiechnięta, lecz z drgającymi trochę ustami i powiekami, obok Rożnowskiej usiadła.

Od zapytywanej z kolei praczki, żony pijaka ślusarza, najmniej dowiedzieć się było można, bo ta kobieta, wysoka i chuda, z twarzą wszerek i wzdłuż zoraną bólem i troskami, w grubej, krótkiej spódnicy i wielkiej chustce, zarzuconej na głowę, tak była strwożona i rozżalona, że, prócz kilku niewyraźnych, zaledwie dosłyszalnych słów, nic wymówić nie mogła. Ramiona jej drżały pod wielką chustką, z oczu, wypieczonych parą wrzątku i spieką

⁵*gżems, gżyms* (z niem.) — poziomo biegnący występ muru. [przypis redakcyjny]

żelazek, łyż, jak groch, padały na grube, poparzone, u piersi splecione ręce. Z całej jej mowy dosłyszec można było tylko wyrazy: syn dwunastoletni, ojciec pijak, szynk w tym samym domu, nauka, dobra panienka... Odprawiono ją prędko, a miejsce jej zastąpił mularz.

Ten mówił za siebie i poprzedniczkę swoją dużo, prędko i tak głośno, że kilka razy zalecano mu, aby głos zniżył, czemu natychmiast był posłuszny, ale ręką żylastą i silną targając mosiężny łańcuch zegarka, albo na głowie burząc gęstwinę twardych włosów, wnet znowu w ferwor⁶ wpadał i głośniejsze, niż wypadło, dowodził, że, gdy za uczenie swojej córki płacił pannie kartoflami i warzywem, to widać bardzo szło mu o to, aby córka cokolwiek umiała. Zaś posyłać ją na pensję — za drogo mu było. Więc cóż miał robić i cóż on takiego zrobił? Albo ta panienka: co ona takiego zrobiła?... Po zadaniu tego pytania rozstawił ręce z takim gestem i tak wytrzeszczył oczy, jakby tuż przed jego wzrokiem cały świat przewracał się do góry nogami, a on zanic zrozumieć nie mógł, dlaczego tak z nim się dzieje?

Po tym mularzu zeznawali i świadczyli jeszcze: piekarz, stróż domu, jakiś doróżkarz i jakaś wdowa po urzędniku, na koniec i najdłużej ten, kto dokonał odkrycia, że na górnym pięterku domu, którego dolne piętro zajmował szynk, gromadka drobnych dzieci dowiadywała się o tem, że pszczoła ma cztery skrzydełka, sześć nóżek, dwa rożki i żądło, że cztery od dziesięciu sześć, że nie trzeba czynić drugiemu tego, co nam niemiło i t. d., a dowiadywała się tego, o zgrozo, w języku ojczystym!...

W chwilowej ciszy, która zapanowała, gdy umilkł głos ostatniego z zeznających, wzrok Joanny powoli spłynął z góry ku tłumowi, napelniającemu połowę sali. Wszyscy siedzieli na ławach, pilnie i w milczeniu śledząc bieg sprawy. Nad pstrą i nieruchomą w tej chwili masą wzbijał się jeden człowiek, który nie siedział, ale stał. Ażeby móc lepiej wszystko widzieć, stał on za wszystkimi ławami, na jakimś małym podniesieniu, tak plecami do ściany przyciśnięty, jakby mu one do niej przyrosły. Oczy Joanny przyrosły do jego twarzy i napelniły się wyrazem przerażenia.

Był to jej brat, ale jakże inaczej wyglądał, niż zwykle! Suche ramiona w wytartych rękawach skrzyżował i mocno do piersi przyciskał; na papierowo białe jego policzki wystąpiły czerwone plamy i wzbijały się aż pod brzegi ciemnych okularów. Oddychał prędko, i usta miał nieco rozwarte. Z wyteżoną uwagą słuchał krótkiego, lecz energicznego oskarżenia, które wygłosił prokurator, i splątanej jakoś obrony adwokata. Potem przewodniczący sądowi zwrócił się do Joanny, oznajmiając, że ma prawo wyrzec się w tych rozprawach ostatnie słowo, i zapytując, coby na swoją obronę powiedzieć mogła i chciała?

Nad wysoką, ciężką poręczą ławy oskarżonych podniosła się szczupła, jasnowłosa, czarno ubrana dziewczyna. Powieki miała spuszczone, postawę spokojną i głos trochę drżący.

— Uczyłam dzieci, myślałam, że czynię dobrze...

Tu na mgnienie oka w twarzy jej zaszła uderzająca zmiana. Jakby zawrzały w niej gwałtowne jakieś uczucia, podniosła czoło, oczy jej błysnęły, usta drgnęły i, poprawiając ostatnie swe zdanie, głośno, wyraźnie rzekła:

— I teraz myślę, że dobrze czyniłam.

Bezwarunkowo była winna. Rzecz dziwna jednak, dlaczego przewodniczący nie powstał zaraz dla udania się z towarzyszami do komnaty narad i przez kilka minut siedział z podniesioną trochę głową i, jak w tęczę, wpatrywał się w obwinioną — z jakim wyrazem oczu — tego, z powodu oddalenia, nikt z tłumu dostrzec nie mógł. Patrzyli też na nią i jego towarzysze, z których jednemu brwi zsunęły się mocno. Trwało to bardzo krótko, minutę, poczem wstali i odeszli. Nie wracali długo. Sprawa była prosta i jasna. Dlaczego narada trwała tak długo?

Tubalnym głosem woźny oznajmił, że sąd do sali posiedzeń powraca.

Ze szmerem szumiących drzew wszyscy powstałi. Za stołem, zasłanym sukniem, przewodniczący stanął pospółu z towarzyszami swymi i zaczął czytać wyrok. Zauważono, że czytał nieco cichszym głosem, niż ten, w którym wprzód przemawiał. Joanna Lipska skazana została na dwieście rubli kary pieniężnej, a w razie niewypłacalności — na trzy miesiące więzienia.

⁶ferwor (z łac.) — zapal. [przypis redakcyjny]

Posiedzenie sądowe zamknięte; publiczność odpływa z sali. Tu i owdzie prawnicy pomiędzy sobą szepczą, że dziewczyna ta jest szczęśliwa, bo małym jeszcze kosztem przestępstwo swe okupi...

Jednak małość i wielkość są pojęciami nadzwyczaj względniemi. Tak zapewne myślał Mieczysław Lipski, który po usłyszeniu wyroku najłżejszego poruszenia nie uczynił i stał przy ścianie, jak wprzódy, skrzyżowane ramiona do piersi przyciskając. Urzędnik jakiś, w kołnierzu zrzadka haftowanym złotem, przechodził tamtędy i, spostrzegłszy go, zatrzymał się przed nim. Znał go widać i z życzliwym uśmiechem zaczął:

— No, cóż, Mieczysławie Antonowiczu! Dobrze skończyło się wszystko! Ale jakże będzie? Sztraf⁷ czy więzienie? Jutro rano przyjdę do was. Ale zapłaćcie lepiej... Dwieście rubli rzecz niewielka, a panienki szkoda...

I pobiegł dalej. W tejże chwili Mieczysław oderwał się od ściany i skoczył ku wyjściu. Kilku biurowych kolegów chciało go przytrzymać i mówić coś, może doradzać... Ale jego oczy były tak rozpalone, że z za ciemnych okularów widać było ich błyski, a ostre łokcie rozpychały wszystkich i wszystko dokoła. Tak wypadł do długiej galerji, z rzędem ogromnych, jasnych okien, którą przepływała publiczność, zwolna znikając w dole, na wschodach. Tu obejrzał się i we framudze jednego z okien spostrzegł Joannę, która tam stała, może czekając na niego, może nie mając siły, czy odwagi, torować sobie drogi wśród tłumu. W tej chwili wiodła ona wzrokiem za grupą osób, znajdujących się już u przeciwnego końca galerji. Były to dwie kobiety i jeden mężczyzna, powszechnie w tem mieście znany, przystojny, wzięty, przez panie szczególnie ulubiony doktor Adam. Jak mnóstwo ludzi innych, przybył on tu dziś dla wysłuchania ciekawej sprawy sądowej, i łatwo było spostrzec, że wychodził pod wpływem poważnych i smutnych wzruszeń. Przecież, gdy jedna z jego towarzyszek, wysoka i strojnie ubrana panna, z uśmiechem przemówiła do niego, uśmiechnął się także i w początku wschodów pośpieszył podać jej ramię. Joanna uczuła w tej chwili, że ktoś ją chwyta za rękę, i zobaczyła Mieczysława, który, schylony nad nią, prędko i cicho mówić zaczął:

— Idź sama do domu. Ja teraz z tobą iść nie mogę. Mam w mieście pilne interesa. Za kilka godzin wrócę. Idź sama do domu.

Wpatrywał się w nią rozognionemi wciąż oczami i, mocno ściskając jej rękę, dodał:

— Nie lękaj się... nie lękaj się tylko... nie lękaj!

*

W kilka godzin potem Mieczysław Lipski znużonym krokiem wstępował na wschody swego mieszkania, powoli przeszedł kuchenkę i w przyległym pokoju, z głośnem stęknieniem, usiadł na twardej staroświeckiej kanapie. Był widocznie znużony, twarz jego wróciła do swej papierowej białości; gestem zamyślenia przesunął długą, białą ręką po zmarszczonem czole. Nie zdziwiło go to wcale, że Joanny w kuchence nie zobaczył. Zeszła może na dziedziniec, albo może zabrała ją na ten dzień do siebie poczciwa Rożnowska.

Jednak Joanna znajdowała się w kuchence, tylko siedziała w ciemnym jej kątku, ukryta za wysoką poręczą łóżka. Widząc wchodzącego brata, nie zerwała się zaraz, jak to bywało zwykle, aby przywitać go i zapytać, czy czego nie potrzebuje? Nie mogła może odrzucić wyrwać się z zamyślenia, albo miała do niego trochę żalu za to, że tak nieprędko wracał. Po kilku jednak minutach wstała i cicho weszła do przyległego pokoju.

— Jesteś więc! Gdzieżeś była?... — zapytał Mieczysław.

— Byłam w domu, tylko mnie nie spostrzegłeś. Rożnowska przysyłała, prosząc, abym do niej na resztę dnia przyszła, ale nie chciałam... Myślałam, że zaraz przyjdiesz... przyszedłeś tak późno...

— Aha, późno! — mruknął kancelista.

Dziewczynę ta obojętność brata na jej losy widocznie w serce kłuła. Stała o kilka kroków przed nim, ze splecionemi na sukni rękami, oczy jej smutnie świeciły pośród bardzo mizernej twarzy.

— Myślałam, że zechcesz pomówić ze mną w ostatnim dniu... przed rozstaniem...

— Jaki ostatni dzień? Jakie rozstanie? — mruknął znów brat.

⁷sztraf (z niem.) — kara pieniężna. [przypis redakcyjny]

— Czyżbyś już zapomniał, że jutro zaprowadzą mnie do więzienia?

Po twarzy jej przebiegło kilka nerwowych drgnień. Zaraz jednak mówiła dalej:

— Trzy miesiące to czas dość długi... a i potem najpewniej nie wrócę już do ciebie, tylko gdziekolwiek, w jakkolwiek służbę pójdę... Trzeba więc pomyśleć o twojem gospodarstwie. Dziś wieczorem spiszę dokładnie twoje odzienie, abys wiedział, co masz, i okradać się nie dawał. Matkę Kostusia umówię, aby codziennie z rana przychodziła mieszkanie ci uprzątnąć i samowar nastawić. W domu już jadać nie będziesz, bo któżby ci teraz gotował, ale pójdę na chwilę do Rożnowskiej i dowiem się, czyby nie chciała za zapłatę obiad ci dawać. Miałbyś u niej jedzenie zdrowsze niż w restauracji... Pamiętaj także, gdy wieczorem siadasz do pisania, lampę uważnie zapalać, bo masz zwyczaj czynić to tak, że pokój napelnia się swędem, co ci bardzo na oczy szkodzi...

Gdy tak mówiła, Mieczysław patrzył na nią z dziwnym wyrazem oczu. W tych przedwcześnie zmordowanych i chorych oczach było tyle wesołości i razem tyle żalu, że trudno byłoby powiedzieć, czy wybuchnie on zaraz śmiechem, czy płaczem. Gdy Joanna mówić przestała, zapytał:

— Czy skończyłaś?

— Tak — odrzekła — zresztą przez dzisiejszy wieczór i jutrzejszy ranek może jeszcze coś przypomnę sobie...

Nie spuszczać z niej wzroku, przez kilka sekund wstrząsał głową, tak, jakby dziwił się czemuś lub nad czymś ubolewał. Potem nosowym swym głosem mówić zaczął:

— I ty naprawdę myśleć mogłaś, że ja pozwolę na to, abys szła do więzienia i trzy miesiące przesiedziała ze złodziejami i zgubionymi kobietami, w brudach, w błocie?...

Teraz Joanna zdziwiła się bardzo.

— Jakże może być inaczej? Wyrok sądowy... ostateczny...

— Czyś nie słyszała? Dwieście rubli kary pieniężnej, albo więzienie... dwieście rubli... wyraźnie: dwie-ście! Czy nie słyszałaś?

Uśmiechnęła się, ramionami wzruszyła.

— Owszem, słyszałem. Ale to wszystko jedno. Dla mnie sumę tę dostać jest tem samem, co zdjęć gwiazdę z nieba; ani pomyślałem o tem.

— Aha, nie pomyślałaś — zawołał kancelista i tym razem, zerwawszy się z kanapy, wyprostował się w całej swej cienkości i wysokości, a długie ramiona szeroko rozpostarł, co wszystko nadało mu niejaki podobieństwo do wietrznego młyna. W postawie tej, miotając w powietrzu ramionami, jak młyńskimi skrzydłami, wołał:

— Zobaczą cię stróże więzienni tak, jak swoje uszy bez lustra! Plwam ja na pieniądze tam, gdzie idzie o honor, a może i życie mojej siostry! Bagatela! Trzy miesiące w mokrych murach, w brudzie, ze złodziejami i łajdaczkami! Jesteś córką profesora, panną dobrze wychowaną... Dlatego, żeśmy zbiednieli, to mamy już tarzać się po więzieniach, ze złodziejami i pijakami! Cha, cha, cha! cha, cha, cha!

Nie chodził, ale biegał po pokoju, oddychając prędko, nerwowo śmiejąc się i gestykulując.

Joanna szeroko oczy ze zdziwienia otwierała.

— Ależ na miłość Boską, Mieczku, co ty wygadujesz! Skądżebyś ty wziął tyle pieniędzy? Wszak to niepodobieństwo!

Stanął i dłonią o stół uderzył.

— Otóż wziąłem! Otóż dostałem! Otóż przekonasz się, że nie jestem takim niedołągą, na jakiego wyglądam, i że ty nie jesteś już tak znów zupełnie sama na świecie!

Poskoczyła i, ręce jego w swoje pochwycawszy, mocno je ścisnęła. Mnóstwo uczuć wstrząsało jej rysami: niespodziana nadzieja wyzwolenia się od czegoś, przed czem, w tajemnicy swej duszy, śmiertelnie drżała, radość, którą jej sprawiał ten wybuch braterskiej czułości, najbardziej przecież przestrasz...

— Skąd wziąłeś te pieniądze, Mieczku? Jakim sposobem dostałeś te pieniądze? Drogi mój, co ty zrobiłeś?

Spróbował ręce wydobyć z jej dłoni, ale ona je z całych sił coraz mocniej ścisnęła.

— Skąd wziąłem? Nie ukradłem ich przecież. Wiesz o tem dobrze, że nie ukradłem. Pożyczyłem — i koniec.

Joanna od stóp do głowy zadrżała.

— Pożyczyłeś! — krzyknęła — ależ to dla ciebie ostatnia zguba! Jakże ty będziesz mógł tak wielką sumę zwrócić? Suchym chlebem chyba żyjąc! A któż ci pożyczył? Bogatych ludzi nie znamy. Pierwsza Rożnowska dałaby, gdyby miała, ale nie ma. I nikt z tych biednych ludzi takich wielkich pieniędzy nie ma. Któż ci więc je pożyczył? Kto? kto? kto?

I dopóty ściagała go tem natarczywym pytaniem, dopóty wzrok swój strwożony w jego oczach zatapiała, dopóki z niechęcią i prawie gniewem nie wymówił nazwiska jednego z najbardziej znanych w tem mieście lichwiarzy.

Joanna uderzyła głośno w dłonie, a potem niemi twarz sobie zakryła.

— Boże! — mówiła — Boże! Boże!

Przez kilka minut, prócz tego jednego wyrazu, nic wymówić nie mogła. Biedny jej brat przez nią, dla niej oddawał się w ręce lichwiarza, wstępował w przepaść długów, zgryzot, nędzy... Odjęła ręce od oczu i, obejmując go ramionami, błagać zaczęła, aby pozwolił jej iść do więzienia. Mówiła mu, że jest zdrowa, silna, młoda i może wszystko wytrzymać; że słuszne jest, aby niosła odpowiedzialność za to, co czyniła sama; że ten dług, który zaciągnął, stokroć więcej sprawia jej bólu i trwogi niż te trzy miesiące... tam!... A gdy on przecząco wciąż głową wstrząsał i z wielkiem wzruszeniem, lecz stanowczo powtarzał: „Nie, Joasiu, nie! nie! Ja na to przystać nie mogę!” — osunęła się na klęczki i, rękoma kolana jego objawszy, błagała go gradem słów, które przechodziły w namiętne krzyki.

— Mieczku, najdroższy! pozwól, pozwól, pozwól mi tam pójść, a pieniądze te odnieść temu, od kogo je wzięłeś... Zaraz, zaraz, zaraz je odnieś! Pozwól, braciszku złoty, pozwól mi tam pójść!

Plakała gradem łez. Wielki warkocz jasnych włosów odwinął się z jej głowy i, rozpleciony, stargany, strugą bladego złota osypywał grube obuwie kancelisty. Ale on, schyliwszy się prędko i, podnosząc ją z klęczek, długimi swemi, twardemi ramionami mocno do swej piersi przycisnął.

— To już, moja droga, być nie może. Pieniądzy tych oddać nie mogę. Są już one u tego urzędnika, który tu przyjść miał jutro rano, aby cię do więzienia zaprowadzić... a teraz nie ma po kogo przychodzić! Cha, cha, cha, cha!

Śmiał się trochę gapiowato, a trochę nerwowo, ze szczególnem zmieszaniem triumfu i goryczy. Ona cicho, głęboko na jego piersi płakała. Stało się. Dlatego przez kilka godzin do domu nie wracał, że starał się o pieniądze i odnosił je temu, komu należało. Wdzięczność bez granic, radość wyzwolenia, żal nad bratem i trwoga o jego przyszłość przejmowały do głębi dziewczynę, starganą strasznymi wrażeniami tego dnia. Nie mogła mówić, tylko z całej siły przyciskała się do piersi tego dziwnego chłopca, który miał pozór tak zgnębiony i zamarły, wydawał się zwykle tak obojętny, a teraz...

Przycisnęła usta do jego ręki i cicho rzekła:

— Niechże więc będzie tak, jak ty chciałeś.

Zmęczony Mieczysław położył się na kanapie, za stołem, okrytym kancelaryjnymi papierami. Joanna wróciła do kuchni i zakrzętała się około nastawiania samowaru. Napeniła samowar wodą i z dzbankiem w ręku stała chwilę nieruchoma. Potem nabrała z piecyka węgli, które także do samowaru wrzuciwszy, znów zwiesiła ręce na suknię i stanęła prosta, sztywne, szklanym wzrokiem patrząc na stojącą u ściany szafkę. Sprzęt ten przypomniał jej śnać o czemś, bo postąpiła ku niemu i zaczęła z niego wyjmować szklanki i łyżeczki. Ale te dwie ostatnie wypadły jej z ręki na podłogę, ona zaś, zamiast je podnieść, pochwyciła nóż i bułkę chleba. Ruchy jej były prędkie i nierówne, co chwila powstrzymywane nieodpartem zamyśleniem. Nakoniec nóż i chleb na stół rzuciła i, rękami twarz zakrywając, a czoło przyciskając do drzwiczek szafki, wybuchnęła gwałtownie tłumionym płaczem. Co ona teraz z sobą pocznie? Jaka teraz będzie jego przyszłość? O! straszna pustka jej życia, a straszniejsze jeszcze jego troski, zgryzoty, ruina! Stłumiła łkania i płakać przestała. Lękała się, aby jej płacz w przyległym pokoju nie był usłyszany, i przestała płakać. Ale nic robić nie mogła. Trzeba jej było myśleć, myśleć, myśleć i myślami temi zjadać własne serce. Usiadła na ławce przy oknie i myślała. Oslupiały wzrok jej błądził za szybami, nie widząc nic, prócz kilku czarnych brzydkich dachów i kawałka nieba, zasnutego wydobywającym się z kominów tłustym dymem. Nie było w tym widoku żadnej rozrywki i żadnej pociechy; więc też twarz Joanny stawała się coraz bardziej

pośępna. Łzy jej oschły, ale bladą zazwyczaj cerę zapłynął odcień przykrej żółtości, a po spłowiałych ustach, po raz pierwszy w jej życiu, wić się zaczął gniewny, cierpki uśmiech.

Wtem drzwi od kuchenki skrzypnęły, i ukazały się dwie dziecinne postacie. Był to duży Kostuś w swem ubraniu z grubego płótna, bosi, ciężki, przygarbiony i za rękę prowadzący małą, pucatą Mańkę, prędko drepzczącą także bosemi nóżkami, wydobywającemi się prawie po kolana z pod spłowiałej sukieneczki. Nie upłynęło kilka sekund, a chłopak, lękliwie i z zaszępioną jakąś czułością z pod brwi spoglądając, przed Joanną ukląkł, dziewczynka zaś, trzepocząc małemi nogami i rękami, z cichym chichotem na kolana jej wskoczyła. U nóg Joanny leżał pęk czeremchy, która teraz właśnie rozkwitała na świecie, a której sporą garść syn ślusarza narwał zapewne w czyimś ogrodzie i, milcząc, tu na podłodze położył. Silny zapach tego śnieżnego, wiosennego kwiatu napelnił kuchenkę. Kostuś zaś, wciąż tem samym spojrzeniem przywiązanego i lęklivego zwierzątka z pod brwi na nią patrząc, wyjął z zanadru spory zeszyt i, rozwarłszy go, powoli zaczął czytać:

— Próż-niac-two jest oj-cem wszyst-kich grze-chów. Kto ra-no wsta-je, te-mu Pan Bóg da-je.

A mała Mańka, także z za sukienki wyjęła stary elementarzyk, zbrudzony, zgnieciony, i, roztwierając go na tej karcie, gdzie się znajdował alfabet, zaczęła:

— A... b... c...

Joanna zcicha śmiać się zaczęła i całowała zmarszczone czoło chłopca i rumiany policzek dziewczynki. Oni ucieszyli się tem bardzo. Stąd powstał mały gwar. Z sąsiedniego pokoju nosowy, zaspany głos zapytał:

— Kto tam taki, Joasiu? Z kim rozmawiasz?

Joanna spłoneęła ciemnym rumieńcem i, twarz ku oknu odwracając, odpowiedziała:

— Dzieci...

— Dzieci! — zawołał Mieczysław i natychmiast stanął w progu. Na policzkach jego znów wybiły się czerwone plamy, i oczy mu pały, ale tym razem gniewem. Właściwie był to gniew, pochodzący z przestrachu, który wyraźnie malował się na twarzy, w postawie i wszystkich ruchach kancelisty.

— Znów dzieci! — powtórzył głosem podniesionym — czy zupełnie już mam zginąć przez te przebrzydłe bębny? Czy niedość już było biedy? Jeszcze może miejsce w biurze i ostatni kawałek chleba mam stracić?

Gestykulował⁸ popędliwie. Przestrach niespodziewaną siłę nadawał jego głosowi. Przerazliwie prawie krzyknął:

— Precz mi stąd, malcy! Żeby tu od dnia dzisiejszego noga wasza nie postąła; bo, jak was jeszcze kiedy zobaczę, na gorzkie jabłko stłukę. Precz! Precz!

Chłopiec i dziewczynka w mgnieniu oka zniknęli...

Joanna zapaliła lampkę, urządziła herbatę i razem z pokrajaną na talerzu bułką zaniósła ją bratu, który przy zapalanej też lampie pilnie już pisał. Codzienne spędzał nad takim pisaniem długie godziny i w biurze, i w domu. Postawiwszy szklankę i talerz na stole, pochyliła się i pocałowała schyloną nad papierami głowę brata. O! najłżejszej do niego nie czuła urazy. Miał prawo tak postąpić. Tylko czuła, myślała, że znów koniecznie coś z sobą począć wypada, jak najrychlej! jak najrychlej!

Tymczasem usiadła w kuchence i zaczęła wyszywać na nowej chustce cyfrę Mieczysława.

Czeremcha, przez dużego Kostusia przyniesiona, napelniała kuchenkę odurzającym zapachem; samowar, stojący u pieca, szumił i parą buchał; z dołu, z pod podłogi dochodziły głuche szmery, nad którymi od chwili do chwili wzbijał się stuk przewróconego sprzętu, albo kłótlawy, czy hulaszczy okrzyk. Szynek tam rozpoczynał swoje nocne, podziemne życie.

Ale co tam takiego zaszeleściło za wysoką poręczą łóżka — i ze zmroku, tuż przy ziemi, wysuwać się zaczęło, z nieokreślonymi formami?... Zwierzątko? Dziecko? Jakieś dwie rączki opierały się o podłogę... jakieś jasne włosy odbiły się bladem złotem na tle brudnej ściany, jakaś para oczu zaświeciła przezczystym błękitem... Było to dziecko, które przez kilka sekund, pocichu, pełznąca na czworakach, nagle, z wybuchem śmiechu, wskoczyło na kolana osłupiałej w swym smutku dziewczynki.

⁸gestykulować — rękami wymachiwać, potrząsać. [przypis redakcyjny]

Duży Kostuś uciekł, a mała Mańka schowała się tylko za łóżko i czekała, póki *pan* nie przestanie gniewać się i krzyżeć. Ona tu dziś nocować będzie, jak wiele razy nocowała; a teraz chce trochę z elementarza poczytać, pokazać, co już umie... Wszystko, od *a* aż do *p...* od *p* nie umie, ale *wczoraj* nauczył się...

Chciała zapewne powiedzieć *jutro*, a powiedziała *wczoraj*, ale to nic! Joanna znów całowała ją i zapytała, czy rodzice jej wiedzą o tem, że tu nocować zamierza.

Z przyległego pokoju zabrzmiało pytanie:

— Kto tam znów? Z kim rozmawiasz, Joasiu?

Zcicha i z wielkim zmieszaniem Joanna odrzekła:

— To Mańka... Czy mam powiedzieć jej, aby poszła precz?

W przyległym pokoju przez długą minutę panowało milczenie, aż nosowy głos męski wymówił:

— Daj jej trochę herbaty.

W dole, pod podłogą, rozległo się znów głośne stuknięcie, i zawrzała bezładny hałas. Czy tam pijak jaki upadł i głową uderzył się o róg ławy? Może człowiek na człowieka podniósł pięść tak silną, że go obalił na ziemię, okrytą śmieciem i zalaną trunkiem? Może to takim stukiem i krzykiem zawrzała tam bezrozumna, bezecna zabawa?

Nad zuchwałym hałasem szynku, w kuchence, oświetlonej małą lampą i napelnionej zapachem czeremchy, blada dziewczyna, z twarzą zmęczoną i zapłakanymi oczami, trzymała na kolanach bosc, pucate, śmiejące się dziecko. Z za spłowiałej sukienki czerwona rączka dziecinna wyjęła znów mały, zbrudzony, zgnieciony elementarzyk, a srebrny głosik zadzwonił długim, figlarnym śmiechem.

Z przyległego pokoju ozwało się przeciągłe syknięcie:

— C-i-i-i-cho!

— C-i-i-i-cho! — schylona nad dzieckiem, powtórzyła Joanna.

Małeństwo stłumiło srebrną dźwięczność swego głosu i, krótkim paluszkami o każdą z liter uderzając, cicho, szepetem prawie, czytało:

— A... b... c...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/orzeszkowa-abc>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, A... B... C..., Biblioteczka Uniwersytetów Ludowych i Młodzieży Szkolnej, Nakł. Gebethnera i Wolffa, druk. W. L. Anczyca i spółki, Kraków 1927.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikizródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Agnieszka Dąbrowska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikizródła.

ISBN 978-83-288-0600-9

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przełącz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przełącz darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.